Rok 1935. **9 czerwca.** **Nr. 24.**

DZWONECZEK

DZIAŁ DLA MŁODSZYCH CZYTELNIKÓW „DZWONU NIEDZIELNEGO"
Pod redakcją Eli Oleskiej.

„Pani Zielonych Świąt".

Myśląc o królowej Jadwidze, mamy ją zwykle przed oczyma już jako monarchinię, w koronie na głowie, siedzącą na tronie, czy też czyniącą miłosierdzie pośród ludu prostego. Widzimy ją też w gronie służebnic, albo znowu na naradach między dostojnikami państwa i Kościoła; wogóle jako mądrą i wielką królowę, którą cały świat ówczesny podziwiał, a sam papież czcił i szanował, uważając ją za jedną z najgodniejszych cór świata chrześcijańskiego.

Rzadko natomiast myślimy o niej jako o dziecku, które też przecie miało swoje lata szczęśliwe, jak mniejwięcej każde dziecko na świecie. Coprawda, były one niedługie, gdyż już w dziesiątym roku życia straciła Jadwiga ojca, a w dwa lata później spoczęła już na jej głowie korona królewska. Jednak czas spędzony w domu rodzicielskim na Węgrzech, lub w Wiedniu u ojca i stryja Wilhelma, były opromienione niezwykłem szczęściem. Była ona bowiem, wraz ze swą starszą siostrą, Marją, ukochaniem rodziców i przyszłą nadzieją dworu austrjackiego.

Wychowywane były obie królewne nadzwyczaj starannie, gdyż dwór węgierski w owe czasy należał do najoświeceńszych w całej Europie. Miały więc królewskie dziewczątka świetnych nauczycieli, zarówno duchownych, jak i świeckich, lecz chociaż wiele czasu oddawano nauce, również i wesołe zabawy urozmaicały życie. Już w najmłodszych latach znały dobrze język łaciński, francuski, włoski, niemiecki, a również i polski, boć przecie babką ich była siostra polskiego króla Kazimierza Wielkiego, a więc płynęła w nich i krew piastowska. Zaznajamiała też matka swe córy ze sprawami gospodarskiemi, uczyły się cudnych haftów na krosnach, najmilszą zaś nagrodą dla nich za pilność w nauce było słuchanie pieśni bośniackich i polskich, jakie śpiewała matka przy wtórze lutni w ręku.

Panował wówczas zwyczaj na dworach panujących, że dzieci królewskie, mające być kiedyś połączone ze sobą węzłami małżeńskiemi, już bardzo wcześnie zaręczano uroczyście, poczem każde z nich musiało naprzemian przebywać pewien czas w domu swych przyszłych rodziców. Tak więc i Jadwiga, której na męża przeznaczono młodziutkiego księcia z austrjackiego rodu Habsburgów, pojechała do Wiednia, jej zaś narzeczony do Budy na Węgry. Radości jednak było bez miary wówczas, kiedy Wilhelm też zjeżdżał do Wiednia podczas pobytu tam Jadwigi, dla odwiedzenia swych rodziców.

Oboje wtedy pozostawali głównie pod opieką stryja, księcia Albrechta, który im po całych dniach opowiadał niesłychane dziwy o morzu, okrętach, o wojnach, Turkach i Tatarach, co byli wciąż postrachem Europy; wtedy to właśnie dowiedziała się młodziuchna Jadwiga o istnieniu jeszcze pogańskiego w Europie narodu Litwinów, z którymi nieustannie wojowali sławni na cały świat rycerze krzyżowi, Krzyżacy, pod pozorem nawracania ich na wiarę chrześcijańską.

Ale mimo, iż bardzo pokochała przyszłego swego stryja Albrechta, tęskniła Jadwiga do domu rodzinnego. Toteż zabiło szczęściem jej serce, gdy się dowiedziała, że rodzice zażądali powrotu jej na Węgry, tembardziej że i Wilhelm miał jej towarzyszyć w tej podróży. Ze łzami miłości w cudnych czarnych oczach powitała ją królowa-matka, a ojciec, uszczęśliwiony, obnosił ukochaną dzieweczkę na rękach po całym zamku, zwanym „Orlem Gniazdem“.

Tam wśród grona sobie rówieśnych zabawiały się, dzieci na łąkach zrywaniem kwiatów, łowieniem ryb w nurtach Dunaju; tam też co roku, według starego zwyczaju, cały dwór królewski, panny i paziowie obierali królowę piękności. Marja przywoławszy młodszą swą siostrę Jadwigę, umaiła jej lśniące włosy zrobionym przez siebie wiankiem i oświadczyła, że w takiej koronie zawsze chadzać powinna. Toteż największą jej radością było, gdy Jadwigę, jak zresztą co roku, ponownie obrano królową piękności, ponad którą niema piękniejszej.

Uroczystość ta prawdopodobnie odbywała się w okresie Zielonych Świątek, gdyż równocześnie nazywano Jadwigę „Panią Zielonych Swiąt“. Bo też naprawdę z każdym dniem stawała się piękniejszą, tak, że powszechnie przyrównywano ją do róży, jako królowej kwiatów.

Już przecie w Hainburgu, gdzie odbyły się wspaniałe zaręczyny królewskich dzieci, gdy jako „panna młoda“ kroczyła wraz z Wilhelmem poprzez starożytną katedrę, by zawrzeć z nim niby ślub, który w przyszłości dopiero miał być potwierdzony, wywoływała wśród obecnych okrzyki zachwytu i podziwu. W błękitnej sukni wyszywanej liljami, jako herbami francuskiego rodu Andegawenów, z którego pochodziła, z włosami spływającemi po ramionach, zaróżowiona i patrząca na wszystkich cudnie uśmiechniętemi błękitnemi oczyma, wyglądała jak nadziemski obrazek, od którego nie można było oderwać zachwyconych oczu.

Mimo jednak tego przepychu, szczęścia i radości, prowadziła Jadwiga życie bardzo religijne, jak było podówczas w zwyczaju na dworach chrześcijańskich, a w szczególności na węgierskim. Wyniosła ona więc już z domu żarliwą pobożność, którą jeszcze bardziej rozpalały opowiadania o żywotach świętych, między innemi o św. Małgorzacie, o św. Kindze, św. Ludwiku, królu francuskim, dalej, rozczytywanie się w Piśmie świętem, w Rozmyślaniach św. Bernarda i t. p.

Rzeczą, z którą Jadwiga nigdy się nie rozstawała, był maleńki ołtarzyk podróżny, w kształcie książki do modlenia. Później zaś, w Polsce, umiłowała sobie piękny obraz Matki Boskiej, przywieziony jej w darze z Włoch. Zarówno przed tym obrazem, jak i przed krzyżem Pana Jezusa w katedrze Wawelskiej, składała potem młodziutka królowa wszystkie swoje skargi, żale, udręki, cierpienia i prośby. To byli jej powiernicy najbliżsi i z wszystkich najdrożsi, najmocniej umiłowani. W obliczu tych Postaci przenajświętszych młodziutka królowa z dzieweczki, rwącej się do szczęścia osobistego, przeobrażała się w pełną mądrości i powagi monarchinię, matkę narodu, żyjącą tylko dla jego dobra i szczęścia.

Ów cudowny krucyfiks po dziś dzień wiszący w bocznym ołtarzu katedry Wawelskiej, stale ściąga ku sobie ludzi modlących się gorąco. Przypominając sobie, iż jest to tensam, od którego na głowę Jadwigi spływała moc ofiary, błagają oni Zbawiciela z ufnością o łaski za przyczyną Świątobliwej Królowej.



Przyniosły mamy swoje pociechy, aby fotograf zrobił ładne zdjęcie. Wszystko już gotowe, aparat nastawiony; pan daje znak, że już — już, a buzie będą złapane na kliszy, trzeba więc, aby były przyjemne. A tu naraz, jakby na komendę, państwo Milusińscy uderzają w bek. Wspaniały robi się koncert, a minki jeszcze piękniejsze. Na szczęście, coś bardzo ciekawego zajęło młode towarzystwo, z czego skorzystał fotograf, aby zrobić obiecane piękne zdjęcie. Wszystkie boby wyszły na niem bardzo dobrze, tylko biedny Wojtuś wygląda jakby jaki stary człowieczek. Oczka mu się ściągnęły całkiem ukośnie, na czółku porobiły się fałdy, a bezzębna buzia rozchyliła się zabawnie. Nie pomaga nawet ręka mamusi złożona mu na ramieniu, taką widocznie straszną krzywdą staje się dla niego to pierwsze w życiu fotografowanie się. Podobną chętkę płaksiwą zdradza młodszy od niego Jędruś, ale na szczęście cukierek z własnego paluszka pociesza go w niedoli. Jakieś resztki niezadowolenia widać jeszcze na twarzy Halutki, która ma minę wielkiego dygnitarza. Zato milutka Krysia nic sobie już nie robi z aparatu, bo coś ją mocno zaciekawiło w innej stronie. Najpoważniej przedstawia się rozczochrany Wicuś, chociaż właśnie wszystkie Wicusie bywają wielkimi trzpiotami. Może go tak poważnie usposabia jego sąsiadka w czepeczku, mała „babcia“ Kordulcia, z którą tworzy doskonałą parę.

Kochajmy drzewa!

Jak przed sześciu miesiącami zazieleniły się nagle wszystkie niemal wnętrza domów polskich pachnącemi z lasu choinkami, tak znowu teraz nazewnątrz przystrajają się domy liściastą zielenią brzóz, klonów, jesionów i różnych innych drzew z naszych gajów i lasów. I podobnie jak trudno wyobrazić sobie święta Bożego Narodzenia bez świerczka, jodełki czy sosenki, tak nie sposób w Zielone Świątki obejść się bez radosnej wszędzie zieleni. Miły to zwyczaj i jeden i drugi — i ciężko byłoby się z nim pożegnać. Z drugiej jednak strony, kiedy sobie uprzytomnimy, ile to dziesiątek tysięcy drzew pada corocznie ofiarą dla krótkotrwałej przyjemności człowieka, to ogarnąć nas musi żal, przerażenie i trwoga. Są to jednak przeważnie drzewka młode; nie dają jeszcze ani dużo pożytku jako materjał do budowy czy wyrobu sprzętów lub narzędzi; ani też nie dają jeszcze cienia i ochłody; nie stanowią jeszcze gęstwy leśnej, która wpływa na klimat, na zdrowotność okolicy; nie stanowią jeszcze poważnej zapory przeciwko wichrom i rozszalałym powodziom. Zresztą, niezbyt trudno ostatecznie jest na miejsce ściętego doczekać się znowu takiego młodziaka po latach niewielu.

O ileż większy żal, przerażenie i trwogę wywoływać musi w ludziach poważnie myślących znikanie na olbrzymich przestrzeniach całych obszarów leśnych, jak to się gdzieniegdzie u nas dzieje. W dawnych, niepamiętnych czasach ziemia polska od Karpat po Bałtyk pokryta była przepastnemi puszczami, w których żyli ludzie trudniący się tylko myślistwem i rybołóstwem

Ta puszcza dawała im wszystko: schron, pożywienie, a z biegiem cywilizacji — budulec na chatę i materjał na najrozmaitsze rzeczy, wreszcie i pierwszą skibę pod zasiew, gdy już się nauczyli uprawiać ziemię i siać w nią ziarno na chleb. To też leśni ci ludzie czcili puszczę, tę swoją żywicielkę i mieli dla niej miłość religijną. Tam przecież według ich wierzeń, żyły bóstwa, którym składano ofiary i do których modlono się w szczególnie poświęconych miejscach, zwanych uroczyskami lub świętemi gajami. Z tej to właśnie czci pogańskiej dla puszczy przechowała się — z pokolenia w pokolenie przechodząca — miłość nasza do lasu. Niema poprostu człowieka, któryby z jakiemś przedziwnem uczuciem podziwu, zachwytu, radości, a zarazem jakby pewnego onieśmielenia, nie wchodził w głąb boru, tchnącego nań odrazu swoją powagą i tajemniczością.

Później jednak, w miarę jak ludzi przybywało, i trzeba było coraz więcej ziemi uprawnej, zaczęła się między człowiekiem a puszczą zacięta walka. Pod ciosami toporów padały najstarsze, najpoważniejsze drzewa, na miejscu borów powstawały osady, wsie i miasta — tak, że w ciągu wieków z przeogromnych, cały nasz kraj pokrywających puszcz leśnych, pozostały jedynie resztki, a gdzieniegdzie jałowe nieużytki, bezużyteczne piachy i wydmy. Przez długie czasy trwała ta straszna, bezmyślna gospodarka człowieka, który sobie ciągle lekkomyślnie powtarzał za swymi poprzednikami: „Nie było nas — był las; nie będzie nas — będzie las".

Aż nareszcie w ostatnich czasach dopiero zaczęli się ludzie przekonywać, że i bezdenna, niekończąca się puszcza może mieć swój koniec. Nauka zaczęła udowadniać, jaki wielki wpływ mają lasy na klimat kraju, na zdrowotność, jak zabezpieczają na wypadek wielkich nieszczęść, n. p. powodzi, jak są konieczne w naszem istnieniu, zarówno dla ciała, jak i dla duszy człowieka. Ileż zdrowia cielesnego dają ludziom okolice leśne, zwłaszcza takim, którzy przez większą część roku dusić sie muszą w miastach.

(Dokończenie nastąpi).



Rozwiązanie łamigłówki z nru 22 go

J. Mak. Panna. Mniszek. Kłusownik. *Jan Sobieski.* Korniszon. Katedra. Sosna. Oko. I.

Rozwiązanie szarady z nru 22 go

Łata. Łasa. *Sałata.*

Dalszy ciąg opowiadania p.t.
„Tajemnica wyspy kauczukowej"
w numerze następnym.

„Chciałbym mieć taką szyję w szkole, kiedy jest dyktat" — zwierza się ojcu mały Staś, spoglądając w zwierzyńcu na żyrafę.